

Mimo lat troski, zgryzot, kłopotów czerstwa była jeszcze i ruchliwa bardzo.

Miękkie popielate włosy tu i ówdzie siwa osrebrzyła nić. Ale w oczach było tyle młodości! Jeny koło ust zmarszczki żalu, niepokoju, tęsknoty!

Twarz ozłacał uśmiech mądry i dobry, uśmiech pobłażliwy tych, co sami dużo wycierpieli, więc serce i oczy otwarte mają na każdą cudzą niedolę, uśmiech tych, którzy całe życie strawili dla drugich, nie myśląc nigdy prawie o sobie. Ona sama nie zastanawiała się nad tem. Uważała to za tak proste. Czyż mogło być inaczej w jej życiu?

Najstarsza w domu, żyła najprzód dla sióstr, dla braci młodszych, a potem wyszła za mąż i kochała bardzo, choćby za to już, iż ją zechciał! I znów żyła dla męża tylko. A potem dzieci. Cóż? Kiedy nie chowały się! Dwoje umarło, został tylko ten ostatni. Więc to znów takie naturalne, że stał się jej wszystkim!

Zwłaszcza, gdy on, mąż, odszedł od niej za inną, tak, tak, cicho serce! to już dawno temu. Widać mu źle z nią było! Odszedł i nie wrócił...

Aż dopiero w wiele lat potem... Jureczek już był w szkole, ale nic nie wiedział. Wierzył, że tatuś wyjechał. Dostała nagle list i tyle zagranicznych na nim marek!

Więc się zebrała i pojechała jak stała, natychmiast, ale on już był nieprzytomny. Bredził jeszcze całą noc i umarł.

Bóg dobry jednak. Umarł, trzymając ją za rękę, z jej imieniem na ustach!

Tamta druga odjechała jeszcze przed tem, gdy tylko zachorował. Wzięła wszystkie pieniądze — i znikła!

Wtedy na nią przyszła kolej stanąć przy łóżku konającego i bodaj ostatnich chwil parę mu osłodzić.

Tamta przecież nie kochała, brała co dawał, a ona żona jego, dawała, gdyż nie umiała inaczej.

A potem... potem wróciła do Jurka.

Chłopak tymczasem rósł, dojrzewał, oczy miał całkiem ojca, tylko serce lepsze.

Gdy zdał maturę, powiedziała mu wszystko i pokazała wybladłą fotografię ślicznej blondynki o złych oczach, która mu zabrała ojca.

Cóż? Chłopiec gorący, nie umiał tak wybaczając jak ona. Naprzód zbladł a potem uciekł z domu i trzy dni go nie było. Gdzie się błąkał? Bóg raczy wiedzieć!

Wreszcie wrócił i długo płakał u jej kolan, a ona gładziła zwichrzoną czuprynę i pocieszała go.

Jurek jednak przeklinał „jej“ imię i mścić się chciał...

W końcu przestał łkać, zdusił łzy, uspokoił się ale nie zapomniał, o nie!

Ona go zna! Taki zacięty, — jak i ojciec!

Skrył jeno swój ból i jej hańbę, gdzieś na samem dnie młodziutkiej duszy.

Od tej pory nie mówili już o tem nigdy.

Potem — on musiał kryć się. Wyjechał, już go nie widziała więcej.

Mój Boże! Mój Boże! A może on dlatego nie pisze, że wróci niespodziewanie? On lubi ją tak zwodzić!

A może przecież bodaj karteczka czeka na nią na pocztę?

— Jeśli jest, jutro i tak listonosz ją przyniesie! Ochładzał ją złośliwy zimny rozsadek — zresztą nic pewno niema, głupie, stare serce!

— A może przecież? (A jeśli tak, jakżesz czekać do jutra? Nie, nie, pójdzie zaraz.

Spojrzała na zegar miejski. Pocztę zamykają o 5-tej. A teraz dochodzi 4-ta.

Przed samym jednak budynkiem pocztowym zawahała się. Wejść? A jeśli nie?

Podświadomie, sama siebie okłamując, przypomniała sobie nagle bardzo ważny sprawunek!

(Byle zyskać na czasie!)

Póki nie wie napewno, może mieć jeszcze nadzieję!

Byle odwlec chwilę zawodu!

— Zawróciła do miasta i wstąpiła do znajomego sklepu.

— Czem można służyć pani doktorowej? — zapytał ugrzeczniony subjekt.

— Dla mnie proszę... — zająknęła się, czegoż ona chciała? Ach tak! 10 dkg. drożdży!

Wyszła ze sprawunkiem i znów zwróciła się ku pocztę...

Liczyła kroki: Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści. Czy jednak nie idzie za szybko?

Drzewa w kwiecie uśmiechały się do niej, wszystko dyszało radością wiosny.

— Delikatne płatki akacji śpiewały słodko:

— Spiesz się! Spiesz! Tam cię czeka list od syna, list z dalekiej drogi!

Pokrzywy zaś pod parkanem „szorstkimi trącąc się liśćmi, zabiły znów słabą iskrę otuchy:

— Niema nic! Niema nic!

Poco się tak spieszysz?

To zwalniała, to przyspieszała kroku. Długo stała przed złotym, brudnym budynkiem.

Aż wreszcie wyszedł stary Mateusz, woźny, z pękiem kluczy.

— Pani na pocztę? Proszę się spieszyć bo zamykamy!

Jednym tchem znalazła się przy okienku.

— Przepraszam. Czy niema czegoś dla mnie? Doktorowa Mokrzycka!

Urzędnik, zbierający się już do wyjścia, niechętnie spojrzał na nią.

— Jak nazwisko?

— Mokrzycka.

Podszedł do szafki z listami i długo szperał w stosie ostemplowanych kopert.

Czekała, przyciskając dłonią bijące serce. W uszach szum, w ustach posmak słony. Jak długo, jak długo to trwa! Prędej! Skróćcie mękę!

Urzędnik wziął jakąś kartkę do ręki, zrobił dwa kroki...

— Głupie serce matki nie szaleje!...

— Mokrzycka? Niema nic!

Urzędowe okienko zatrzasnęło się z hałasem.

Sztynne nogi wyniosły ją automatycznie z brudnej izby na rozświetlaną, wiosenną ulicę.

Rękami przyciskała bezwiednie do biednej zbolalej piersi pacuszkę — 10 dkg. drożdży.

Przez piaski pustyni.

A tymczasem przez lotne piaski pastyni cwałem biegły trzy wielbłądy.

Pod szerokimi racicami zwierząt rozstępowała się sypka ziemia, tworząc długie, dłużyce się coraz bardziej szlak kopyt.

Biegły w ciemną dal rudych wydm i pagórków kamienistych.

Po niebie, po granatowym wędrowały gwiazdy, gwiazdziste żmije mleczną drogę z zaświatów w zaświaty.

A na ziemi mroczno było i ponuro.

Gdzieś, w ciemnościach wyły głodne szakale.

Pustynia gorącym oddechem swym wypijała krew z żył ludzi i wierzchowców szklawem piaszczystym zasypując oczy i nozdrza, usta i uszy...

Ostre ziarenka wciskały się boleśnie pod skórę, we włosy, w ubranie, kłując dotkliwie tysiącem niewidocznych, drażniących szpilek.

Pierś zespieszona szukała łapczywie krzty świeżego powietrza, ale nie było go, gdyż wiatr niósł z tajemniczych głubin Arabii zabójczy żar, upalnym powiewem ogarniający znużoną skórę.

Sierp księżycy niesamowitym, metalicznym blaskiem oświecał trzech jeźdźców...

Przodem, pochylony w siodle, oczyma błyszczącymi wypatrując znajomej drogi, pędził mały „Cwał“, cały zatulony w biały burnus, zaduży, zwisający fantastycznymi fałdami z chudych boków zwierzęcia.

Drugi, w pewnej odległości, gnał Kanadyjczyk, po żołniersku wyprostowany, w swym „khaki“ mundurze jednolity w kolorze, nieruchomy jakby zrosnięty z wielbłądem.

A na samym końcu, ociągając się w tyle — Jurek. Nienawykły do tak szalonej jazdy, kurczowo czepiał się garbu i piętami popędzał rozkołysanego w biegu dromadera, który niezgrabnie, a jednak szybko rozstawiał swoje długie nogi.

Toteż chłopiec w miarę tego jeździł z boku na bok po siodle, starając się od czasu do czasu wyschniętym językiem napróżno zwilżyć popękane od gorączki i pragnienia wargi.

I te trzy ruchome postacie, rozsypane łańcuchem po piaszczystym bezkresie, dziwnie niesamowite sprawiały wrażenie. Kontury jeźdźców i wierzchowców, owych odrażających brzydkich stworzeń, z małą główką na końcu długiej szyji, z odstającymi żebrami i skołtunioną sierścią, zlewały się razem w jeden długi rozbiegany kształt, dziwny i śmieszny, choć pełen grozy zarazem...

I w tym szarym półświecie gasnącej nocy południa zdawało się, iż to jakieś mityczne potwory z osiedli swych ruszyły i kłusują przez spopielałą ogniem ziemię: Na żer, na łup, na zatracenie.

— Tak pędzili naprzód dobrych parę godzin, nie zwalniając biegu, w nieznaną pustynię, byle dalej od znienawidzonego obozu!

(Dalszy ciąg nastąpi).



Przez lotne piaski pustyni cwałem biegły trzy wielbłądy...